

Serial władza światem

„Robert Robur” ma szansę stać się spektaklem kultowym. Dick, Burroughs, Pynchon – nazwiska tych pisarzy wymieniało się w kontekście powieści Mirosława Nahacza. Garbaczewski i Żulczyk pamiętali o tym, przenosząc ją na scenę.

WITOLD MROZEK

Swoją nową premierą TR Warszawa przypomina Nahacza (1984-2007), zmarłego śmiercią samobójczą, głównego przed dekadą młodego pisarza o wielkim talencie. Nahacz został ogłoszony głosem pokolenia po swoim „Osiem cztery” – o alkoholowo-narkotycznych przygodach osiemnastolatków z prowincji, przyprawionych potężną dawką autoironii. Łemko z Beskidu Niskiego, na studiach w Warszawie cieszył się legendą „poety przekłętą”, postaci charyzmatycznej.

Wystawione przez Krzysztofa Garbaczewskiego „Niezwykłe przygody Roberta Robura” to ostatnia, niedokończona powieść Nahacza. Wydana dwa lata po jego śmierci, skonsternowała krytykę ogromem materiału i przerostem fantastyczno-dystopijnych wątków. Wszechmocna organizacja rządząca światem? Tajna policja? Znajdźcie tu jedno i drugie. Mroczna sekta przeprowadzająca dziwne rytuały – obecna. Telenowelowe rozpoznanie, że ktoś jest czyimś ojcem – a najlepiej, że Główny Zły (Cezary Kosiński) okazuje się ojcem swego śmiertelnego rywala? Proszę bardzo.

Narzędziem, którego używa w Nahaczowym świecie reżim, by kontrolować umysły, jest serial „Wściekłość i wrzask”. Jego siła leży w zatarciu granicy między realnością a fikcją.

Robert Robur, którego poznajemy jako nieco odklejonego abnegata przesadzającego z używkami, był jednym ze scenarzystów powieściowego serialu. Rolę Robura miał grać Dawid Ogrodnik, jednak w premierowym spektaklu zastąpili go Paweł Smagała i Justyna Wasilewska. Jest to wyjątkowo udane zastępstwo: Smagała udziela Roburowi ciała, Wasilewska – głosu. Dziwny bohater mówi tu kobiecym głosem niezsynchronizowanym z ruchem warg. Oddziela go to od szaleńczej kotłowniny w kadrze. Uzbójny w przywieszoną do pasa klawiaturę, przy użyciu której – jako scenarzysta – awaryjnie zawsze może na bieżąco zmienić przebieg akcji, jest jak pokonująca kolejne poziomy postać ze starej gry wideo.

Właśnie, wideo. Dla tych, którzy mieli już okazję widzieć jakieś przedstawienie Garbaczewskiego, nie będzie niespodzianką, że większa część akcji rozgrywa się na ekranie, w zakomponowanych z anarchicznym rozmachem kadrach Roberta Mleczki. W „Robercie Roburze” mamy do czynienia z czymś w rodzaju kina klasy B realizowanego na żywo, na oczach widzów i w kulisach teatru.

Współautor adaptacji, pisarz Jakub Żulczyk, uważa, że krytyka nie zrozumiała podjętej w książce Nahacza zabawy z gatunkiem. Tymczasem teatr świetnie nadaje się do pokazania zamierzonego przez pisarza pastiszowego charakteru powieści. A teatr Garbaczewskiego nadaje się do tego w szczególności. Na scenie pojawiają więc rozczulająco naiwne efekty specjalne – jak np. lewitacja leżącej postaci na dobrze widocznych linkach. Są też zmaterializowane jako rekwizyty komiksowe „gwiazdki” – te, w których zwykle napisane jest „bum!”.

Choć Garbaczewski wypreparował z powieści główną linię fabuły, to nie o śledzenie zwrotów akcji tu chodzi. Raczej o inteligentną zabawę z popkulturą: z wchodzeniem i wychodzeniem z kadru na scenę, z niekończącymi się pościgami po korytarzach czy z fabularnymi schematami i chwytami, jak „cliffhanger”. Termin, którym scenarzyści określają nagle spiętrzenie napięcia – np. zawiśnięcie ścigane go bohatera nad przepaścią – tu został pokazany z rozbijającą dosłownością. Jan Dravnel – w roli przyjaciela Robura – zawisa nad publicznością, trzymając się balustrady balkonu. Jednym z patronów „Roberta Robura” mógłby być filmowiec Piotr Szulkin. Ten dystopijny świat, zderzenie zdegradowanej rzeczywistości i wszechwładnego przemysłu emisyjnego z celem oglupienia populacji...

„Robert Robur” pewnie niejednego znuży, ale dla sporej grupy ma szansę stać się spektaklem kultowym. Wszystko dzięki totalnej wolności teatralnego gestu, poczuciu humoru, dużej dawce kampanijnej przyjemności zabawy z popkulturą. Nie dajcie się zwieść głosom, że to głęboki traktat o tym, jak nowe media nami rządzą i trwale odkształcają międzyludzkie relacje. Choć oczywiście rządzą i odkształcają. Ale pokoleniowość „Robura” polega na tym, że jego odbiorcy przywykli już do diagnoz dotyczących cyberświata – naiwnych lub boleśnie celnych – bez którego jednocześnie nie wyobrażają sobie własnej rzeczywistości. Choć cyberkorporacje karmią się ich kliknięciami i fotkami, to dostarczają też im (nam) niezbędnych dawek popkulturowego narkotyku. ●